

# **KSIĄŻĘ HARRY**

# **TEN DRUGI**

Przełożyli

MIŁOSZ BIEDRZYCKI  
ANNA DZIERZGOWSKA  
JAN DZIERZGOWSKI  
MARIUSZ GĄDEK  
AGNIESZKA WYSZOGRODZKA-GAIK

**MARGINESY**

*Spare*

COPYRIGHT © 2023 BY Prince Harry, The Duke of Sussex  
This translation is published by arrangement with Random House,  
an imprint and division of Penguin Random House LLC.

Książę Harry pragnie wesprzeć brytyjskie organizacje charytatywne darowizną płynącą z dochodu z publikacji książki *Ten drugi*. Książę Sussex przekazał 1,5 miliona dolarów Sentebale, organizacji, którą założył wraz z księciem Seeiso jako hołd dla ich matek, wspierającej dzieci i młodzież w Lesotho i Botswanie zarażone HIV. Książę Harry przekaze również darowiznę na rzecz organizacji non profit WellChild w wysokości 300 tysięcy funtów. WellChild, której od piętnastu lat udziela królewskiego patronatu, stara się, by dzieci i młodzież z chorobami przewlekłymi otrzymywały opiekę w domu zamiast w szpitalu.

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Miłosz Biedrzycki,  
Anna Dzierzowska, Jan Dzierzowski, Mariusz Gądek,  
Agnieszka Wyszogrodzka-Gaik

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,  
Warszawa 2023

*DLA MEG, ARCHIEGO I LILI...  
I OCZYWIŚCIE DLA MOJEJ MATKI*

Przeszłość nigdy nie umiera.  
Nie jest nawet przeszłością.

William Faulkner, *Requiem dla zakonnicy*,  
przeł. Waław Niepokólczycki

Umówiliśmy się na spotkanie kilka godzin po pogrzebie. W ogrodach Frogmore, przy starej gotyckiej ruinie. Byłem pierwszy.

Rozejrzałem się; nie zobaczyłem nikogo.

Sprawdziłem komórkę. Żadnego esemesa, żadnej poczty głosowej.

Pewnie się spóźnią, pomyślałem i oparłem się o kamienny murek.

Odłożyłem telefon i powiedziałem sobie: spokojnie.

Pogoda była klasycznie kwietniowa. Ni to zima, ni wiosna. Drzewa były nagie, ale powietrze – łagodne. Niebo szare, ale tulipany kwitły. Światło blade, ale meandrujący przez ogrody ciemnoniebieski staw błyszczał.

Jakie to wszystko jest piękne, pomyślałem. I jakie smutne.

Kiedyś zakładałem, że tu będzie mój dom na zawsze. Zamiast tego okazało się, że to tylko kolejny krótki przystanek.

Gdy moja żona i ja uciekliśmy stąd w obawie o zdrowie psychiczne i bezpieczeństwo fizyczne, nie byłem pewien, czy kiedykolwiek tu wrócę. To był styczeń 2020 roku. Teraz, ponad rok później, byłem tu kilka dni po przebudzeniu się, zobaczeniu na telefonie trzydziestu dwóch nieodebranych połączeń i odbyciu krótkiej, przyprawiającej o kołatanie serca rozmowy z babcią:

– Harry... dziadek odszedł.

Zaczęło wiać i zrobiło się chłodniej. Zgarbiłem się, potarłem ramiona, poczułem, jak cienka jest moja biała koszula. Żałowałem, że nie przebrałem się po pogrzebie i że nie wzięłem ze sobą płaszcza. Odwróciłem się plecami do wiatru i mój wzrok padł na gotyckie ruiny, które tak naprawdę nie były bardziej gotyckie niż karuzela Millennium Wheel. Zmysłna architektura, scenografia teatralna. Jak tyle innych rzeczy wokół, pomyślałem.

Z kamiennego murka przemieściłem się na drewnianą ławeczkę. Usiadłem, ponownie sprawdziłem telefon, spojrzałem wzdłuż ogrodowej ścieżki.

Gdzie oni są?

Kolejny podmuch wiatru. Z jakiegoś powodu przypomniał mi się dziadek. Może to jego chłodny sposób bycia. Albo mrożące poczucie humoru. Przywołałem w myślach jedno z weekendowych polowań sprzed lat. Kolega, chcąc nawiązać rozmowę, spytał dziadka, co sądzi o mojej nowej brodzie, która wzbudzała niepokój w rodzinie i kontrowersje w prasie. „Czy królowa powinna kazać Harry’emu, żeby się ogolił?” Dziadek spojrział na mojego kolegę, na moją brodę i na jego twarzy pojawił się szelmowski uśmiech.

– To ma być broda?!

Wszyscy się roześmiali. Być albo nie być brodatym, oto było pytanie, ale można było liczyć na dziadka, że będzie się domagał w i ę c e j b r o d y.

– Niech rośnie bujna szczecina cholernego wikinga!

Pomyślałem o zdecydowanych poglądach dziadka, o jego licznych pasjach: powożeniu bryczką, grillowaniu, strzelectwie, jedzeniu, piwie. O tym, jak cieszył się z y c i e m. Pod pewnymi względami przypominał moją matkę. Może dlatego był takim jej fanem. Na długo zanim została księżną Dianą, kiedy była po prostu Dianą Spencer, przedszkolanką, sekretnią dziewczyną księcia Karola, mój dziadek był jej najbardziej zdecydowanym sprzymierzeńcem. Niektórzy twierdzą, że to on wyswatał moich rodziców. Jeśli to prawda, to można uznać, że dziadek stanowił Pierwotną Przyczynę mojego świata. Nie byłoby mnie, gdyby nie on.

Ani mojego starszego brata.

Ale może za to nasza matka wciąż b y ł a b y. Gdyby nie wyszła za tatę...

Przypomniałem sobie jedną z ostatnich rozmów, sam na sam z dziadkiem, niedługo po tym, jak skończył dziewięćdziesiąt siedem lat. Myślał o końcu. Mówił, że nie jest już w stanie realizować swoich pasji. Najbardziej ze wszystkiego jednak brakowało mu pracy. Bez pracy, mówił, wszystko się rozłazi. Nie wyglądał na smutnego, bardziej – na gotowego.

– Trzeba wiedzieć, kiedy odejść, Harry.

Popatrzyłem w dal, na małą panoramę krypt i pomników w ogrodach. Royal Burial Ground, Królewski Cmentarz, miejsce ostatecznego spoczynku tak wielu z nas, w tym królowej Wiktorii. A także osławionej Wallis Simpson. Również jej podwójnie osławionego męża Edwarda, byłego króla i mojego praprastryja. Po tym, jak Edward zrezygnował z tronu dla Wallis, po tym, gdy uciekli z Wielkiej Brytanii, martwili się o swój

ostateczny powrót – oboje mieli obsesję na punkcie pochówku właśnie tutaj. Królowa, moja babcia, przychyliła się do ich prośby. Ale umieściła ich w pewnej odległości od wszystkich innych, pod pochylonym platanem. Być może to było ostatnie pogroźenie palcem. Ostatnie wygnanie. Zastanawiałem się, co Wallis i Edward myślą teraz o swoim zamartwianiu się. Czy ostatecznie ma to jakiegokolwiek znaczenie? Zastanawiałem się, czy w ogóle o tym myślą. Czy unoszą się w jakiejś eterycznej przestrzeni, rozpamiętując swoje wybory, czy też są Nigdzie, myśląc o Niczym? Czy po tym wszystkim naprawdę może być Nic? Czy świadomość, tak jak czas, ma swój kres? A może, pomyślałem, po prostu są tu teraz, koło fałszywej gotyckiej ruiny, albo obok mnie i podsłuchują moje myśli. A jeśli tak...  
może moja matka też?

Myśl o niej, jak zawsze, przyniosła mi zastrzyk nadziei i przyływ energii.

I ukłucie smutku.

Tęskniłem za matką codziennie, ale tego dnia, tuż przed tym nerwowym spotkaniem w Frogmore, zatęskniłem za nią gwałtownie i nie potrafiłem powiedzieć dlaczego. Jak wiele rzeczy związanych z nią, trudno było to ująć w słowa. Mimo że moja matka była księżną i nosiła imię bogini, oba te określenia zawsze wydawały mi się zbyt słabe, nieadekwatne. Ludzie nieustannie porównywali ją do bohaterów i świętych, od Nelsona Mandeli, przez Matkę Teresę, po Joannę d'Arc, ale każde takie porównanie, choć podniosłe i pełne uwielbienia, okazywało się nietrafione. Moja matka – najbardziej rozpoznawalna kobieta na świecie, jedna z najbardziej kochanych – była zwyczajnie nie do opisania, tak po prostu było. A jednak: jak ktoś tak dalece wykraczający poza język potoczny mógł pozostać tak rzeczywisty, tak namacalnie obecny, tak wyraziście żywy w moim umyśle? Jak to możliwe, że widziałem ją, tak dobrze jak łabędzia sunącego w moją stronę po ciemnoniebieskim stawie? Że wciąż słyszałem jej śmiech, tak głośno jak śpiew ptaków na nagich drzewach? Tak wielu rzeczy nie pamiętałem, bo byłem zbyt mały, kiedy zginęła, ale większym cudem było to wszystko, co zapamiętałem. Jej zniewalający uśmiech, jej wrażliwe oczy, jej dziecięco żarliwe uwielbienie filmów i muzyki, strojów i słodczy – i nas. Och, jak ona kochała mojego brata i mnie. Obsesyjnie, wyznała w którymś z wywiadów.

No cóż, mamó... wzajemnie.

Może jej wszechobecność wynikała z tego samego powodu, dla którego nie dało jej się opisać – ponieważ była światłem, czystym i promiennym światłem, a czy można tak naprawdę opisać światło? Nawet Einsteinowi sprawiało to trudności. Niedawno astronomowie nastavili swoje największe teleskopy, wycelowali je w maleńką szczelinę w kosmosie i udało im się dostrzec zapierającą dech w piersiach kulę, którą nazwali Earendel, co w języku staroangielskim oznacza Gwiazdę Poranną. Earendel położona jest miliardy lat świetlnych od nas i prawdopodobnie już dawno przestała istnieć, bardziej zbliżona wiekiem do Wielkiego Wybuchu, momentu Stworzenia, niż nasza Droga Mleczna, a mimo to wciąż widoczna dla oczu śmiertelników, ponieważ jest tak jasna i olśniewająca.

T a k a była moja matka.

To dlatego widziałem ją i wyczuwałem zawsze, ale szczególnie tego kwietniowego popołudnia w Frogmore.

A także dlatego, że niosłem jej sztandar. Przyszedłem do tych ogrodów, bo chciałem pokoju. Bardziej niż cegokolwiek innego. Chciałem go dla dobra mojej rodziny i dla siebie samego – ale też dla niej.

Ludzie zapominają o tym, jak bardzo moja matka dążyła do pokoju. Wielokrotnie okrążyła kulę ziemską, przemierzała pola minowe, przytulała chorych na AIDS, pocieszała sieroty wojenne, zawsze próbując zaprowadzić pokój, i w i e d z i a ł e m, jak bardzo chciałyby – chciała! – pokoju między swoimi chłopcami, między nami dwoma i tatą. I w całej rodzinie.

Od wielu miesięcy Windsorowie znajdowali się w stanie wojny. Nasze szeregi bywały skłócone co jakiś czas, od wieków, ale tym razem wyglądało to inaczej. To był publiczny rozłam na pełną skalę, grożący niepowetowanymi stratami. Dlatego, choć przyleciałem do domu wyłącznie na pogrzeb dziadka, już na miejscu poprosiłem o poufne spotkanie z moim starszym bratem Willym i ojcem, by porozmawiać o tym, jak się sprawy mają.

By znaleźć wyjście.

Ale teraz spojrzałem jeszcze raz na telefon i wzdłuż ogrodu i pomyślałem: może zmienili zdanie. Może nie przyjdą.

Przez pół sekundy rozważałem poddanie się, pójście na samotny spacer po ogrodach albo z powrotem do domu, gdzie wszyscy moi kuzyni pili i wymieniali się opowieściami o dziadku.

I wtedy, w końcu, zobaczyłem ich. Krocząc w moją stronę ramię w ramię, wyglądali ponuro, niemal groźnie. Więcej, wyglądali na jednomyślnych. Serce podeszło mi do gardła. Normalnie kłóciliby się o to czy tamto, ale teraz wydawali się iść w zgodzie – w szyku.

Zaraz, czy umówiliśmy się na spacer... czy na pojedynek?

Podniosłem się z drewnianej ławki, nieśmiało zrobiłem krok w ich stronę, niepewnie się uśmiechnąłem. Nie odwzajemnili uśmiechu. Teraz moje serce naprawdę zaczęło miotać się w piersi. Oddychaj głęboko, powiedziałam do siebie.

Oprócz strachu czułem nadnaturalnie natężoną świadomość i ogromną bezbronność, podobnie jak w innych kluczowych momentach mojego życia.

Kiedy szedłem za trumną mojej matki.

Kiedy po raz pierwszy brałem udział w bitwie.

Kiedy przemawiałem publicznie podczas ataku paniki.

To samo poczucie, że rozpoczynam misję i nie wiem, czy podołam, ale wiem, że nie ma już odwrotu. Że Los przejmuje wodze.

No dobrze, mam – pomyślałem, przyspieszając kroku – do dzieła. Trzymaj za mnie kciuki.

Spotkaliśmy się w połowie ścieżki.

– Willy? Tata? Cześć!

– Haroldzie...

Szttywno do bólu.

Przegrupowaliśmy się, sformowaliśmy tyralierę, ruszyliśmy zwirową ścieżką przez kamienny mostek obrośnięty bluszczem.

To, jak się do siebie dostroiliśmy, jak bez słowa wyrównaliśmy tempo marszu i pochyliśmy głowy, i jeszcze te groby naokoło – trudno, żebym sobie nie przypomniał o pogrzebie mamy. Zabroniłem sobie o tym myśleć i próbowałem się skupić na dźwięcznym chrzęście naszych kroków i na tym, jak nasze słowa ulatywały niczym dym na wietrze.

Jak przystało na Brytyjczyków i na Windsorów, zaczęliśmy pogawędkę o pogodzie. Wymieniliśmy uwagi o pogrzebie dziadka. Wszystko, w najdrobniejszych szczegółach, zaplanował sam, przypomnieliśmy sobie ze smutnymi uśmiechami. Pogawędki. Pogaduszki. Poruszyliśmy wszystkie poboczne tematy, a ja wciąż czekałem, aż przejdziemy do najważniejszego,



zastanawiając się, dlaczego tyle to trwa, a także – jak, u licha, mój ojciec i brat zachowywali taki spokój.

Spojrzałem wokół siebie. Przeszliśmy już spory kawałek, a teraz dochodziliśmy do samego środka królewskiego cmentarza, po kostki w ciałach bardziej niż księżę Hamlet. Jeśli się zastanowić... czy ja sam nie prosiłem kiedyś o pochówek tutaj? Kilka godzin przed wyruszeniem na wojnę mój prywatny sekretarz powiedział, że muszę wybrać miejsce, w którym zostaną złożone moje szczątki.

– Gdyby stało się najgorsze, Wasza Królewska Wysokość... na wojnie nigdy nie wiadomo...

Było kilka opcji. Kaplica Świętego Jerzego? Królewski skarbiec w Windsorze, gdzie w tej chwili umieszczono mego dziadka?

Nie, wybrałem to miejsce, bo ogrody były urocze, a okolica zdawała się spokojna.

Kiedy stanęliśmy niemal nad twarzą Wallis Simpson, tata rozpoczął miniwykład o tej osobistości tutaj, tamtej królewskiej kuzynce tam, o wszystkich tych niegdyś wybitnych księżętach i księżnych, lordach i damach, obecnie rezydujących pod trawnikiem. Jako historyk amator z wieloletnim stażem miał mnóstwo informacji do przekazania i po trochu zacząłem nabierać przekonania, że potrwa to kilka godzin, a całość zwieńczy sprawdzian. Na szczęście skończył, a my ruszyliśmy dalej po trawniku wzdłuż krawędzi stawu, aż do pięknego małego klombu żonkili.

To właśnie tam w końcu przeszliśmy do rzeczy.

Próbowałem wyłożyć swój punkt widzenia. Nie szło mi najlepiej. Denerwowałem się, próbując utrzymać emocje na wodzy, a jednocześnie starając się być zwięzłym i precyzyjnym. Przyrzekłem sobie, że nie dopuszczę do przerodzenia się tego spotkania w kolejną kłótnię. Ale szybko przekonałem się, że to nie zależy ode mnie. Tata i Willy mieli swoje role do odegrania i przybyli gotowi do walki. Za każdym razem, gdy przedstawiałem nowe wyjaśnienie, nowy kierunek myślenia, jeden lub obaj przerywali mi. Szczególnie Willy nie chciał o niczym słyszeć. Po tym, jak kilkukrotnie mnie uciszył, zaczęliśmy się kłócić, mówiąc to samo, co mówiliśmy od miesięcy – od lat. Atmosfera zrobiła się tak gorąca, że tata uniósł ręce.

– Dość tego!

Stanął pomiędzy nami, patrząc w górę na nasze rozpalone twarze.

– Proszę, chłopcy, nie zamieniajcie reszty moich dni w udrękę.

Jego głos brzmiał zgrzytliwie, krucho. Jeśli mam być szczery: staro.

Pomyślałem o dziadku.

W jednej chwili coś się we mnie poruszyło. Spojrzałem na Willy'ego, naprawdę na niego spojrzałem, może po raz pierwszy od czasu, gdy byliśmy chłopcami. Zobaczyłem wszystko: znajomy grymas, który domyślnie przybierał w kontaktach ze mną, niepokojącą łysinę, bardziej zaawansowaną niż moja; jego słynne podobieństwo do mamy, które zmniejszało się z czasem. Z wiekiem. Pod pewnymi względami był moim odbiciem w lustrze, pod innymi – przeciwieństwem. Mój ukochany brat, mój prześladowca – jak do tego doszło?

Poczułem ogromne zmęczenie. Chciałem wrócić do domu i dotarło do mnie, jak skomplikowanym pojęciem stał się dom. A może zawsze tak było. Ruchem ręki wskazałem ogrody, miasto za nimi, cały kraj i powiedziałem:

– Willy, to miał być nasz dom. Mieliśmy tu mieszkać do końca życia.

– Opuściłeś nas, Haroldzie.

– Tak. I wiesz dlaczego.

– Nie wiem.

– Nie wiesz?

– Naprawdę nie wiem.

Odsunąłem się. Nie mogłem uwierzyć w to, co usłyszałem. Nie zgadzać się w kwestii tego, kto zawinił lub jak sprawy mogły się potoczyć – to jedno, ale jak on może twierdzić, że nie zna powodów, dla których opuściłem kraj, w którym się urodziłem, kraj, za który walczyłem i za który byłem gotów zginąć – moją ojczyznę? Niełatwo to wypowiedzieć. Jak może twierdzić, że nie wie, dlaczego moja żona i ja podjęliśmy ten drastyczny krok, zabraliśmy nasze dziecko i uciekli gdzie pieprz rośnie, zostawiając wszystko: dom, przyjaciół, meble? Serio?

Spojrzałem na korony drzew:

– Nie wiesz?!

– Haroldzie... Naprawdę nie wiem.

Odwrociłem się do taty. Wpatrywał się we mnie z wyrazem twarzy mówiącym: „Ja też nie”.

Rany, pomyślałem. Może naprawdę nie mają pojęcia.

Niesamowite. Ale może to prawda.

A jeśli nie wiedzieli, dlaczego wyjechałem, to może też o mnie nic nie wiedzieli.

Może nigdy naprawdę mnie nie znali.

I, jeśli mam być szczery, może ja ich też nie.

Ta myśl sprawiła, że zrobiło mi się zimniej i poczułem się bardziej samotnie.

Ale też pobudziła mnie do działania. Pomyślałem, że muszę im opowiedzieć.

Jak im to opowiedzieć?

Nie dam rady. Za długo by to trwało.

Poza tym wyraźnie widać, że nie są w odpowiednim nastroju do słuchania.

W każdym razie nie teraz. Nie dzisiaj.

A zatem:

Tato? Willy?

Świecie?

Proszę bardzo.